Nr. 20. Lwów, dnia 16. października 1907. Rok XXX.



Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

Nowa ustawa łowiecka.

Nowa ustawa łowiecka jest już faktem dokonanym o tyle, że wszystkie paragrafy zostały przedyskutowane i przez Sejm uchwalone, a brak już tylko sankcyi Monarszej i oznaczenia terminu, od którego nowe przepisy obowiązywać zaczną.

Dotychczasowa ustawa, sankcyonowana 5. marca 1897, zaczęła obowiązywać od 26. marca 1898, schodzi zatem, względnie zejdzie do grobu po 10-letniem istnieniu. Kreślona w komisyi, uzupełniana niezliczonemi poprawkami przez Sejm, nie zadowoliła ta ustawa, ani sfer łowieckich, ani tem mniej ludności i od pierwszej chwili, dzięki może bardziej niefortunnej kodyfikacyi i licznym niejasnościom, jak istotnym swoim brakom, stała się ulubionym momentem agitacyjnym, do siania niesnaski i waśni społecznej, wdzięcznem polem dla licznych reformatorów ustawodawstwa krajowego.

I jeżeli w ciągu tego minionego dziesięciolecia zaznaczył się w kraju znaczny postęp w kierunku podniesienia łowiectwa, to zawdzięczyć to należy bardziej usiłowaniom i ofiarom jednostek i towarzystw myśliwskich, aniżeli ustawie samej — bo nie zapomni jej nigdy ogół myśliwych i odczuje to na sobie kultura łowiecka w kraju, że tylko taka niejasna i źle skodyfikowana ustawa, mogła wywołać ogólne narzekanie i domaganie się reformy, mogła stworzyć takie wrogie usposobienie dla kultury łowieckiej wogóle, a w ślad za tem dać tło i podkład całej dyskusyi nad nową ustawą i niestety także uchwałom Sejmu.

Nie pora może w tej chwili i trudno ze stenograficznych protokołów Sejmu dać czytelnikom „Łowca“ całokształt nowo uchwalonej ustawy, przyjdzie na to czas później; przebieg dyskusyi sejmowej i uchwalone rezolucye,

względnie ważniejsze przepisy ustawy są z dzienników wszystkim znane.

Dziś już jednak skonstatować niestety można, że nowa ustawa zada kulturze łowieckiej ciężkie ciosy.

Galicyjskie Towarzystwo łowieckie, a z niem razem ogół myśliwych wypowiadał zawsze zapatrywanie, że reforma jest potrzebna, że kultura łowiecka może domagać się należnego uznania i ochrony, tylko oparta na bezwzględnych zasadach sprawiedliwości i na tej zasadzie, że wszelka szkoda, czyto przez zwierzynę, czy przez polowanie wyrządzona, szybko i tanio, a bezwzględnie sprawiedliwie przyznaną i wynagrodzoną być musi.

Poza tem jednak, gdy szkody ani strat nie będzie, nie wolno nikomu o tem zapominać, że łowiectwo jest ważną, a zaniedbaną u nas gałęzią kultury krajowej, i że żadnemu obywatelowi kraju bez względu na to, czy jest rolnikiem, leśnikiem, czy tylko myśliwym, żadnej, a więc i tej gałęzi majątku krajowego marnować nie można.

Domagano się więc reformy ustawodawstwa łowieckiego, ale równocześnie ochrony łowiectwa — uporządkowania stosunków i usunięcia zawikłań, jednem słowem pozytywnego ustawodawstwa, a nie w ustawie samej negacyi łowiectwa.

Nowa ustawa odbiegła daleko od tych zasad, a nie chcąc rozwlekać tych uwag i przechodzić już teraz wszystkich przepisów ustawy, wspomnę tylko o poprawce do wniosków komisyi administracyjnej, która przez Sejm przy §-fie 4-tym nowej ustawy uchwaloną została.

§ 4-ty określał, komu przysługuje prawo polowania i wymieniał według wniosków komisyi:

a) posiadacza nieprzerwanej powierzchni gruntu, conajmniej 115 hektarów, względnie 60 hektarów;

b) gminę jako taką, o ile grunta stanowiące majątek lub dobro gminy powyższy obszar obejmują.

Poprawka uchwalona przez Sejm odnośnie do tego §-fu tworzy trzecią kategoryę uprawnionych, a mianowicie:

„Kilku właścicieli sąsiadujących ze sobą drobnych „parcel, które razem wzięte obszar 60 hkt. względnie 115 „hkt obejmują, jeżeli właściciele zawrą co do polowania „umowę spółki i Starostwo o tem uwiadomią“.

Poprawka ta i jej uchwalenie jest ciężkim ciosem, zadanym łowiectwu i nie poprawią skutków tego postanowienia ograniczenia dodatkowe, które w dalszym ciągu dla takich spółek Sejm uchwalił. Łatwo przewidzieć, że większość lasów i większość samodzielnych, racyonalnie pod względem łowieckim zagospodarowanych polowań, opasaną będzie w przyszłości pierścieniem, tak utworzonych polowań spółkowych i wątpić należy bardzo, czy przepisy wykonawcze, jakie dla wykonania polowania przez „ustanowionych myśliwych“ mają być wydane, potrafią zabronić takim myśliwym zasiadki pod lasem lub w polu na zwierzynę, która tylko nocą na teren spółki wychodzi, a gdzieindziej ma miejsce stałego pobytu.

Ucierpią na tem ogromnie samoistne polowania, ale ucierpią także, o czem panowie wnioskodawcy nie pamiętali, polowania zbiorowe i czynsze z tych polowań zamiast się podnieść, spadną do zera. Bo zapytać się należy, kto teraz będzie licytował polowania zbiorowe. Właściciel samodzielnego polowania i sąsiad, a dotąd z reguły najlepszy odbiorca nie, bo on zazwyczaj uważał polowanie zbiorowe, jako teren ochronny dla swego polowania, a polowanie zbiorowe przestanie być takim terenem, gdy na jego terytoryum powstaną, zapewne liczne okręgi spółkowe.

Amatorowie z miasta ani towarzystwa myśliwskie nie będą licytować, bo i dla nich te same względy będą decydujące. Zostaną więc odbiorcami włościanie miejscowi, którzy zalicytują polowanie w pierwszej chwili, a po paru latach, lub po roku, wystrzelawszy zwierzynę, polowanie i dzierżawę porzucą.

Spodziewać się należy, że zupełne obniżenie wartości polowań zbiorowych, będzie może w przyszłości lepszym hamulcem w tworzeniu się okręgów spółkowych, niż wszystkie postanowienia ustawy, albo przepisów wykonawczych.

Oby tak było, ale choćby było, to w każdym razie przejdzie łowiectwo bardzo ciężkie chwile, a nowa ustawa zamiast chronić kulturę łowiecką, zada jej bolesne, na długie lata ciosy. Czy takiem jest zadanie ustawodawstwa, czy naprawdę tego chcieli sami wnioskodawcy? wątpić należy.

Zrodzona w chwili walki o czteroprzymiotnikowe prawa wyborcze, uścieli może nowa ustawa wielu drogę do łatwego zwycięstwa przy urnie wyborczej — nie będzie jednak kulturalną zdobyczą, na którą Sejm z zadowoleniem po dokonanej pracy mógłby spoglądać.

Uchwalenie poprawki powyższej do §-fu 4-go przyniesie tyle szkód kulturze krajowej, że nie naprawią ich doskonale opracowane i rzeczywiście sprawiedliwości i duchowi czasu odpowiadające przepisy o odszkodowaniach za szkody, przez zwierzynę zrządzone. — Ubędzie zwierzyny, więc i te przepisy będą martwe.

Dr. Władysław Sołowij.



Głuszec w Siedmiogrodzie.

(Dokończenie.)

Dziś szedłem inaczej, nie tak jak pierwszego dnia, bo nie tyle starałem się samemu kryć, ile po cichu stąpać i pilnie się rozglądać, by wpierw głuszca zobaczyć, nim on mnie spostrzeże.

W chwili, gdym się zbliżał do wykrotu, którym głuszec pierwszego dnia się wyniósł, ujrzałem go. Równocześnie i on coś zmiarkował, bo zatrzymał się i jak struna wyprężył. Powoli podniosłem sztuciec; padł strzał i głuszec został na miejscu, strzepnąwszy tylko parę razy skrzydłami.

Oglądnąwszy zdobycz podszedłem ku miejscu, gdzie pierwszego dnia widziałem tropy. Siadłem pod jodłą i wyjąłem zegarek; było trzy na piątą. W chwili gdy zegarek chowałem do kieszeni, usłyszałem telękanie. Oba głuszce zdążały zwykłą drogą ku dołowi. Ponieważ z mego miejsca spodziewałem się je widzieć, założyłem lunetę i przygotowałem się do strzału. Po chwili widzę rzeczywiście kontury jednego z głuszców. Zbliża się ku małej halawce, pokrytej śniegiem i z rozłożonym ogonem, zawzięcie telękając przechodzi przez nią, ale tak szybko, że nie zdążyłem strzelić. Drugi głuszec przeszedł niewidziany i słyszę, jak oba coraz bardziej się oddalają. Zrywam się więc, podbiegam do miejsca, gdzie się stok góry załamuje i po-

czynam podchodzić, koncentrując znów całą uwagę w oczach. Jeden z nich odzywa się wprost przedemną, na dole, drugi po prawej stronie, na równej wysokości ze mną. Przystaję więc koło drzewa w nadziei, że głuszec z prawej strony, skoro zacznie schodzić, na strzał się ukaże. I rzeczywiście wysuwa się nie dalej jak o 30 kroków i tokując, ciągnąc skrzydłami po ziemi, zatacza kręgi.

Naturalnie ze strzałem nie czekam i trzeci głuszec jest moją zdobyczą. Odpocząwszy chwilę, związałem oba głuszce za nogi, przesadziłem kij między niemi i począłem schodzić, kierując się na polanę. I tu znowu zrywa się głuszec z tego samego miejsca, co wczoraj. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że i dziś nie grał. Pozostały więc na tem miejscu jeszcze dwa koguty, t. j. jeden nie grający, a drugi ten, który dziś w dół zeszedł, a którego na drzewie odnaleść nie mogłem.

W powrocie do koleby, zabiłem jeszcze umykającego lisa.

Następne dwa ranki poświęciłem szukaniu nowego tokowiska, ale nic nie znalazłem. W obec tego postanowiłem raz jeszcze powrócić do obu pozostawionych kogutów, poczem bez względu na rezultat zejść do wsi i wyruszyć w sąsiednie rewiry, gdzie tokowiska są znane.

W tym czasie zabiłem też ładnego kozła szóstaka. Pasł się w południe na połoninie. Aby mnie nie posądzano o występek łowiecki, dodaję, że na Węgrzech ustawa dozwala odstrzału kozłów od pierwszego maja.

Skoro dodnia począłem się wspinać do góry, spostrzegłem wielki ubytek śniegu. Ciepły deszcz z poprzedniej nocy przyspieszył tajanie tak, że tylko gdzieniegdzie już białe płaty błyszczały. Na ścieżce wydeptanej poprzednio zginął śnieg zupełnie, a tem samem znikł mój drogowskaz. W obec tego po dziesięciu minutach już drogę zgubiłem. Nie tracąc czasu na jej odszukanie, szedłem na przełaj, zważając tylko na kierunek.

Wędrówka ta zajęła znacznie więcej czasu, niż pochód utartym torem, tak, że gdy czułem się już niedalekim celu, pierwsza jasność ukazywała się już na wschodzie. Okrywszy latarkę kapeluszem, począłem się w koło rozglądać. Niedaleko przed sobą, ujrzałem jakąś halawę. Wydało mi się, że jest to miejsce położone o jakich 300 kroków poniżej tokowiska, a że dostęp najwygodniejszym był właśnie z tej halawy, ruszyłem ku niej. Kiedy już tylko parę drzew mię dzieliło od otwartej przestrzeni, wydało mi się, że to nie jest dolna halawa, lecz samo tokowisko, a równocześnie spostrzegłem na suchaku o jakich 40 kroków przedemną coś czarnego, podobnego do ptaka. W jednej chwili zgasiłem latarkę i począłem się w ten punkt wpatrywać. Że to już miejsce toku było, nie ulega wątpliwości. Oko powoli przyzwyczajając się do ciemności, mogło już po chwili rozeznać głuszca. Chodziło mi już tylko o to: czy kogut, czy kura? Oparty o jodłę, czekałem lepszego światła. Tymczasem w miarę rozwidniania się, począł mi się ptak wydawać na koguta za małym, ogon za krótkim, szyja za grubą. Jeszcze jedno spojrzenie przez binokle, a byłem pewny, że patrzę na kurę. Nie krępując się więc dalej, zdjąłem worek z pleców, wyjąłem surdut, w działem go, nagotowałem lunetę, a wreszcie zapaliwszy papierosa, począłem się wspinać ku dołowi. Po jakich 15 krokach, spojrzałem znów na kurę. Z obecnego miejsca widziałem ją więcej z boku i nie na tle ciemnej chmury, ale właśnie na tle jasności, wstającej od wschodu, I znowu mię wątpliwości napadały. Ogon wydał mi się już dłuższy, a szczególniej kolor za ciemny. W obec tego siadłem pod drzewem, by nabrać zupełnej pewności. Nie długo potrzebowałem czekać, by się przekonać, że mam do czynienia z najsprawiedliwszym kogutem. Nie mając się już poco spieszyć, czekałem ze strzałem, aż głuszec grać pocznie. Tymczasem zrobiło się zupełnie widno, różowe odbłyski na wschodzie zwiastowały już wschód słońca a głuszec nie spał. Obecności mojej nie zmiarkował, bo całkiem swobodnie się zachowywał. Przestępował z nogi na nogę, spacerował po gałęzi, czyścił dziób o wystające sęki, ale nie grał. Tymczasem zrobiło się już tak późno, że czas był schodzić, by przeciąć ewentualnie jeszcze drogę temu głuszcowi, którego dwa razy widziałem uchodzącego piechotą. Strzeliłem więc do głuszca, a ułożywszy go na pniaku, puściłem się ku dołowi.

Tymczasem słońce zeszło i promienie jego już grzać poczęły, gdy wtem doszedł mnie od góry jeden tylko wprawdzie głos telęku, ale zupełnie wyraźny. Sądząc po kierunku, z którego głos usłyszałem, myślałem, że głuszec drogę swą zmienił. Podszedłem więc kilkadziesiąt kroków na prawo i stanąłem za złomem. Minęło parę minut w ciszy i wyprężonem oczekiwaniu, aż z poza grupy świerków wysunął się głuszec z rozłożonym wachlarzem, dążąc milczkiem ale szybko ku dołowi.

Ponieważ oddalał się odemnie, strzeliłem nie tracąc czasu na zdejmowanie lunety. Ponieważ jednak nie umiem strzelać przez lunetę do przedmiotów w ruchu będących, chybiłem. Głuszec po strzale podskoczył, przystanął, złożył wachlarz i biegiem się puścił. Mając już w strzale uczucie pudła, nie straciłem głowy, lecz zrzuciwszy lunetę, włożyłem drugą kulę i strzeliłem po gładkiej szynie. Po strzale głuszec zrulował jak zając.

Ostatni dzień był więc prawdziwie dniem szczęśliwym, gdyż pierwszego głuszca zawdzięczałem tylko zbłąkaniu się, a zachowanie się drugiego było bardzo wyjątkowe. O ile głuszec na drzewie gra, to nie spłoszy go strzał padający w czasie pieśni. Na ziemi jest on bez porównania czujniejszy i zdaje mi się, że do bardzo rzadkich wypadków należy, by chybiony nie zleciał. Pierwszy głuszec tego dnia zabity był znacznie większy i cięższy od tamtych czterech. Myślę, że był to może najstarszy kogut, który pierwszy grać począł i pierwszy przestał. Dziwnem mi się tylko wydaje jego neutralne zachowanie w obec innych kogutów. Wytłómaczenie chyba w tem leżećby mogło, że głuszce skoro już raz grać przestaną, nie troszczą się o konkury swych młodszych towarzyszy.

Zdobywszy w czterech rankach trofea z pięciu głuszców, wracałem dumny i szczęśliwy. Choć wystrzelanie wszystkich na jednym tokowisku grających kogutów sprawiało mi pewne wyrzuty sumienia myśliwskiego, pocieszałem się tem, że tyle ich tu jest i tyle w górach tokowisk, o których nikt nie wie, że luka przezemnie uczyniona, łatwo się do przyszłego roku zapełni.

Odpocząwszy jeden dzień w Guraro, wziąłem dwóch Rumunów, znających tokowiska w sąsiednim rewirze i znów ruszyłem w góry. Pokazano mi dziewięć tokowisk. Na jednem z nich spędziłem dwa ranki i oba razy głuszec zapadł. Pierwszym razem zaczął grać, ale zerwał się za prędko, drugim razem całkiem nie grał. Resztę ranków przespałem, gdyż taka wichura szalała, gnając deszcz, śnieg i grad na przemiany, że nie było można spodziewać się zapadu. Wszystkie miejsca, które tu widziałem, różniły się tem od tokowiska, na którem poprzednio strzelałem, że gdy tam głuszce wieczór już zapadały, tu nadlatywały dopiero rano i to już za dnia. Prawdopodobnie każdy z nich w czasie

toku gra na drzewie, na którem wieczór zapadł i dopiero skoro się już zupełnie rozwidni, zapada na drugiem drzewie już na miejscu właściwego tokowiska, skąd dopiero kury go na ziemię zwabiają. Tak mi opowiadali przewodnicy i tak też sądzić muszę po zachowaniu się głuszcza widzianego. Na polowanie w tym roku nie reflektowałem, bo stanowczo było za późno, prócz tego pogoda się zupełnie zepsuła. Po tygodniu wędrówki zeszedłem do wsi, obiecując sobie na przyszły rok wyruszyć przed 20. kwietnia i obejść po kolei wszystkie miejsca toku, które mi teraz wskazano, a przy końcu dopiero odwiedzić tokowisko, na którem w tym roku słuchałem.

Konstanty Kownacki.

Ze Skolszczyzny.

21. września koło godziny 4 po południu, z sztućcem na ramieniu, wstępowałem na stromą, a dobrze mi już znaną ścieżkę, prowadzącą na szczyty Skobynicy i Uriwnego.

Uśmiechnięte słońce tonęło w brodatym jodłami grzbiecie gór Sławska i Rożanki, nadając ton fioletowo-zielony odwiecznym kolosom jodeł i świerków, topiło swe złoto na okraszonych jesienią bukach, pojedynczo stojących na zrębach Grabowca i kładło tajemnicze cienie po jarach i parowach górskich.

Wstępowałem w tę poważną krainę skał i jarów, jakby w zaczarowany kraj baśni i cudów, by kilka dni w nim przeżyć zdala od ludzi i zgiełku, odetchnąć dziewiczem powietrzem Karpat, poić się szumną pieśnią odwiecznej jedliny i usłyszeć znów tę dla ucha myśliwskiego najpiękniejszą melodyę, ryk króla tych gór i skał, jelenia.

Ścieżka moja wiła się wężem coraz wyżej i wyżej, odsłaniając mi to na prawo, to na lewo tajemnice jarów i parowów górskich.

Była godzina 4 po południu. Od 20 minut wspinałem się ku szczytom. Jeszcze nie ucichł gwar rozmowy górali, zdejmujących z fury me pakunki, które miały się dostać na ich plecach do mojej na szczycie „Urywnego“ stojącej koleby, gdy na przeciwległym stoku parowu ujrzałem ładnego kozła. Prosząc z góry o pobłażanie, przyznać się muszę łaskawym braciom w św. Hubercie, że w mem pojęciu rogacz w górach, w rewirze jelenim nic na swej wartości łowieckiej i na swym wdzięku nie traci, owszem, budzi więcej zainteresowania, aniżeli w kniei nizinnej. Jest on jakby misternie wykończonym klejnocikiem, artystycznie w złoto oprawną perełką w tej bogatej skarbnicy naszych górskich kniei. Strzał do kozła nie budzi tych potężnych uczuć, których doznajemy strzelając do jelenia, jest on jednak jednym z tych molowych, cichych akordów w potężnej tej orkiestrze wzruszeń i zachwytów, a w miniaturowych rożkach kozła, kryjącego swą nadobną główkę w gałęziach ożyn i maliniaków, drzemie czasem wielka dla myśliwego niespodzianka. Już miałem posłać mu kulę, gdy trzask w górze nademną i szmer sypiących się w dół kamyczków, zwrócił tam moją uwagę. W górze, prawie prostopadle nademną, na kroków 150 stał jeleń zwrócony do mnie lewym bokiem i ciekawie rozmowie moich ludzi w dole się przysłuchiwał. Gdy skonstatowałem, że ma wcale dobre wieńce 12-staka, otrzymał kulę w łopatkę i zwalił się w ogniu.

Za chwilę byłem przy nim; zastałem go już nieżywego. Wieńce wcale dobre o 11 końcach wnieśliśmy wieczór do koleby.

Na drugi dzień i przez kilka dni następnych było cicho i głucho w moim rewirze. Jelenie nie ryczały zupełnie. Spotykałem je wprawdzie codziennie, były to jednak głównie łanie lub słabe byki, nie godne kuli.

W niedzielę wieczorem (22/9) zasiadłem na zrębie Skobynicy, gdyż mi meldowano, że do dnia jeleń tam się odzywał. Była słota, co chwila tumany gęstej mgły i deszczu zakrywały świat, by znowu w czas jakiś odsłonić na chwilę błękit nieba i gasnące na szczytach Beskidu słońce.

Zrobiło się ciemno.

Otulony w pelerynę, z schowanym pod nią przed deszczem sztućcem, idę do domu. Po drodze na kroków 20 spotykam dobrego 12-staka, idącego prost do mnie. Zdrętwiałem. Wiedziałem, że z tego spotkania jeleń wyjdzie cało, a ja ze wstydem.

Tak się też i stało.

Jeleń zobaczywszy obszerne, miotane wiatrem poły mojej peleryny, zawrócił na miejscu i znikł jak duch w mgłą spowitych gąszczach, zanim zdołałem ująć broń w rękę.

Po całodziennej niedzielnej słocie wstał dzień jasny, pogodny i zimny. Szron pokrył ziemię, zmoczył trawy i liście. Mimo tego jeleń żaden się nie odezwał. Mając głowę nabitą wczorajszem spotkaniem, udałem się znów na ten sam zrąb Skobynicy — jednak bez rezultatu. Więcej już tego jelenia nie spotkałem.

Dopiero w nocy z poniedziałku na wtorek rozryczały się jelenie na dobre w górach skolskich.

O godzinie 9-tej wieczór budzi mnie leśny meldując, że dwa byki ryczą przy samej kolibie. Narzucam na siebie ciepłą burkę, nogi uzbrajam w pantofle i wylatuję na dwór.

I miałem przed sobą obraz nie do zapomnienia, obraz którego żaden geniusz malarski na płótnie uwiecznić, a moje nędzne pióro opisać nie potrafi, tyle było w nim piękna i majestatu. Szczyty bliskie i dalekich gór kontury, leżące w dole zielone, bezleśne pagórki, jesienią złocone buki, prastare ciemne jodły i pogodne niebo, wszystko zlane powodzią srebrnego księżycowego światła, którego pełna tarcza wysunęła się z nad nagich szczytów Kobylca i lesistego grzbietu Libohory!

I cisza bezkresna panowała na tej całej przestrzeni szczytów, grzbietów, pagórków i dolin. Wiatr lekki przeleciał tylko z równin stryjskich i rozbijał swą pierś o srebrne urwiska skał i otulone mgłą dna parowów i konał żałosnym szumem w aksamitnem łonie sędziwych jodeł i świerków.

Hen gdzieś w górze, po srebrnym szlaku miesięcznego blasku mknął w kraj słońca klucz żórawi i smętnym klangorem wnikał w duszę widza-słuchacza!

Wtem, głośnym grzmotem odezwał się król tej czarownej krainy, jeleń. Echo szło, tłukło się po labiryntach skał i złomów, aż skonało gdzieś w głuchej dali, w srebrnogrzywych falach, rwącego Oporu! Ryk nie został bez odpowiedzi.

Ze szczytu „Uriwnego“ odpowiedział drugi jeleń na rycerskie wezwanie kilkakrotnie echem powtórzonym grzmotem. I tak długo trwała ta walka na słowa dwóch wład-

ców potężnych — powtarzana echem po szczytach i jarach, rzekłbyś słowna walka dwóch bogów — mających w swej służbie grzmoty i gromy!

Gdzieś zdaleka dochodził odgłos ryczących jeleni, na zrębach Rożanki i Teterówki.

Ziębnięty do szpiku, lecz pełen na dzień jutrzejszy najśmielszych nadziei, poszedłem do koleby, lecz zasnąć długo nie mogłem.

Wreszcie pierwszy brzask uciszył rywalów. Jelenie umilkły na cały dzień, by znów w nocy rozpocząć swe harce na słowa. I tak było przez kilka dni następnych. W takich warunkach spotkanie jelenia dobrego, na odległość pewnego strzału nawet z dzisiejszej broni jest przypadkiem, tem bardziej, że jelenie unikały obszernych zrębów a trzymały się głównie gąszczów.

Mało miałem nadziei przyjścia jeszcze raz do strzału do szlachetnego zwierza, tem bardziej, że dzień mego wyjazdu był już za plecami.

(Dok. nast.)

„ŁOWIEC POLSKI“.

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE

1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(Ciąg dalszy).

Wkrótce mija nas askari z posterunku nad jeziorem, który twierdzi, że pozostaje nam już tylko godzina marszu. Idziemy więc dalej, mimo opozycyi tragarzy, którzy mieli w samej rzeczy trudną przeprawę dnia dzisiejszego i spotrzegamy wkrótce „bomę“. Przybywamy tam bez żadnych przeszkód, przybywszy uprzednio mały strumień, okolony karłowatemi palmami. Zastajemy w posterunku p. Archera, miejscowego „kolektora“. W oczekiwaniu karawany, pijemy u niego doskonałą herbatę, a tymczasem na dworze pada deszcz rzęsisty, o którym p. Archer mówi, „że to nic nadzwyczajnego, jesteśmy przecież w pełni „dry season“ (pory dżdżystej).

P. Bradley przybył tu już około południa; rozbijamy obóz tuż obok niego. Znajdujemy się teraz na 1.200 metrów, a różnica temperatury jest bardzo znaczna.

27. sierpnia. Rano spokój. O godzinie 10-ej idziemy do p. Archera; ponieważ zajęty jest właśnie karawaną Kikujów, więc w oczekiwaniu przerzucamy dzieło jego wuja, Jacksona. P. Archer robi nam plan kampanii na wschodniej stronie Baringo, poczem wracamy do obozu, aby potem znów wrócić do niego na śniadanie, na które są także zaproszeni pp. Bradley i Turner. Śniadanie jest doskonałe: znakomity chleb, świeże masło i wyborne kartofle. P. Bradley mówi nam o swych projektach spędzenia trzech tygodni w „Loroghi“, gdzie ma nadzieję strzelać słonie. Niewątpliwie spotka się je tam, — mówi do nas z takiem samem przekonaniem, jak o wszystkiem, co dotyczy tego przedmiotu. Tymczasem p. Archer opowiada nam, że pewien angielski pułkownik uwierzył opowiadaniom, iż stado słoni, złożone z 800 sztuk, przebywa stale w Lorian Swamp, w kraju Rendili. Udał się tam, lecz powrócił, nie widząc nawet ogona słoniego, straciwszy przytem czterech tragarzy, którzy zmarli z pragnienia w kraju, gdzie Guaso-Narok płynie pod ziemią. Pan M. de R. spędził trzy tygodnie na tym posterunku i nie doszedł nawet, jak się zdaje, ani razu do jeziora, ale za to opowiadał dużo o pozwoleniu, jakie dostał na zabicie pięciu „okapi“ [1]) w lasach Congo.

P. Archer pokazuje nam bardzo piękne fotografie, zdjęte u Turkanów. Robi on ciągle inspekcye po swoim dystrykcie. Daje mu to sposobność pokazania nader ciekawego potrzasku, używanego przez miejscową ludność. W czasie ostatniej swej inspekcyi skonfiskował on 300 sztuk takich łapek, które z wielką pompą kazał spalić wobec przerażonej ludności. Model, który nam pokazał, był obliczony na wielkość strusia; istnieją jednak łapki na słonie.

Po południu p, Archer prowadził nas do pewnego Araba, który ma w posiadaniu dwa wspaniałe kły słoniowe, ważące 100 i 126 funtów. Na nieszczęście inny kieł, stanowiący parę do tego ostatniego, a który ważył 138 funtów, został już wysłany na Pomorze. Guy, wracając do posterunku, zachodzi do obozu p. Bradley'a, gdzie zajmowano się właśnie leczeniem chorej mulicy, pakując jej w gardło flakon terpentyny, gdyż jak mówi p. Bradley, choroby te powtarzają się za często, aby dawać za każdym razem butelkę whisky, chociaż to jest niezaprzeczenie najlepsze lekarstwo. Jegomość ten trzyma muły pod namiotem.

P. Archer, który widział moje ptaki, utrzymuje, że najtrudniejsze do spreparowania są ptaki z Djabine.

29. sierpnia. Wyjazd o godz. 8 rano, po omówieniu warunków z przewodnikiem N'Dorobo, które, według p. Archera, są takie same, jak warunki, przyjęte przez majora Powell Cottona.

Po trzygodzinnym marszu po drodze skalistej i falowatej, dostajemy się na brzeg jeziora. Widzimy przed sobą sześć samic antylopy Kudu (Strepsiceros kudu), pięć czy sześć dropi, antylopy Granta i mnóstwo najrozmaitszych gatunków ptactwa wodnego. Guy zabija trzy pentarki na rosół. Po śniadaniu robimy partyę bridge'a, a około 5-tej wyruszamy na przechadzkę, wzdłuż brzegu jeziora. Guy zabija koba o pięć minut drogi od obozu, a nieco dalej — antylopę Granta. Tę ostatnią zdobycz umieszczamy na drzewie, jako przynętę, na takiej wysokości, aby jej hyeny nie ściągnęły, a jednak mógł dostać lew, wspięty na tylnych łapach.

Podczas obiadu przyglądamy się wspaniałej burzy z drugiej strony jeziora.

30. sierpnia. Guy, usłyszawszy dwa lwy, ryczące prawie bez ustanku między drugą a czwartą w nocy, wyrusza o godz. 5-tej, aby sprawdzić, co się dzieje z przynętą, którą jednak znajduje nieruszoną. Zabija phacochera i rani m'palaha, który oddziela się od stada, jak to zresztą czynią wszystkie antylopy ranione; idzie więc za nim w ciągu dwóch godzin. Po upływie tego czasu spostrzega ranionego m'palaha na odległość 200 metrów i poznaje go po nieprawidłowych rogach; po strzale zwierz pada w ogniu.

---

[1]) Okapi *(Okapia johnstoni)* niezmiernie ciekawy gatunek zwierzęcia, pośredni między antylopami a żyrafą, a zamieszkujący środkową Afrykę. Daliśmy w swoim czasie jego podobiznę i opis. *(Przyp. tłóm.).*

Przybywszy do zabitej antylopy, znajduję na miejscu drugą, mniejszą, która ma roztrzaskaną głowę tym samym strzałem.

W czasie upalnych godzin dnia robimy partyę bridge'a, a gdy następnie około 4-tej chcemy wyruszyć na polowanie, silna burza z huraganem i deszczem staje nam na przeszkodzie.

30. sierpnia. W południe wraca Guy z polowania, przynosząc koba, m'palaha, dwa dik-diki, steinbucka, babuina, trzy rock-rabits (Hyrax) — co wszystko razem czyni bardzo urozmaicony rozkład.

Przez ten czas obserwowałem z namiotu trzy hipopotamy, pływające w pobliżu brzegu. Massai utrzymuje, że jednego z nich możnaby strzelić, wlazłszy nieco w wodę, Guy włazi do wody aż po pas, mimo krokodyle, które w Baringo mają bardzo złą sławę; strzela na 200 metrów i chybia. Wracamy, aby zabrać łódkę, lecz ponieważ hipopotam nie ukazał się więcej, zostajemy na śniadanie.

Widziałem dziś rano ogromne stado jakichś białych ptaków, ale nie było komu strzelać do nich.

Kimani powraca z pocztą do Laikipi, ale na nieszczęście bez misyonarza, który cierpi jeszcze za wiele, aby mógł podróżować. P. Archer przysyła nam numer „Fielda“ z 15. lipca, w którym opisane jest jedno z jego polowań na słonie wraz z p. Chapmanem, w okolicach Njempsu: siedm kul małokalibrowych w głowę wielkiego pojedynka bez żadnego rezultatu! Guy strzela do krokodylów i rani jednego z nich ciężko, pragnie jednak, aby Henryk go dobił, co daje możność wielkiemu jaszczurowi dowlec się do wody i zniknąć pod jej powierzchnią.

Codzienna burza nadciąga, lecz przy zachodzie słońca pogoda się wyjaśnia, jezioro przybiera barwę błękitną, a góry stają się pięknie fioletowe. Na nieszczęście trwa to niedługo, gdyż noc zapada szybko.

31. sierpnia. O świcie jakiś hipopotam zjawia się w trzcinach, mając wody ledwie po kolana. Guy stara się zbliżyć do niego z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, lecz gruboskór znika, zanim dojść można do strzału.

Ja wraz z Henrykiem wyruszamy o godzinie 8-mej w towarzystwie karawany. Droga prowadzi w niewielkiej odległości od jeziora po terenie piasczystym, na którym rośnie wysoka trawa wśród olbrzymich głazów wulkanicznych. Wszędzie widać liczne ścieżki hipopotamów. Spotykamy się z Guy'em, który śledzi wielkie stado kobów i antylop Granta. Rozbijamy naprędce namiot, aby mieć nieco cienia na czas śniadania, na ktore podają nam pieczeń z phacochera i hyrax'a, obie bardzo smaczne. Hassani zabija mi dwa ptaki, towarzyszące stale bydłu rogatemu.

Po śniadaniu zabieram się do naszkicowania bardzo oryginalnego gniazda termitowego, mając przed sobą w niewielkiej odległości zebry, antylopy Granta, koby, ciągnące nieskończenie sznurami do jeziora. Po zaspokojeniu pragnienia, zbijają się na noc w zbite kupy w pośród równiny. Dwa dropie kręcą się wkoło mnie, lecz nie mam przy sobie swego małego karabinka z fabryki St. Etienne. Guy powraca, spotkawszy świeży trop lwa. Na zanętę powiesił zabitego przez się m'palaha.

(C. d. n.

Korespondencye.

Z okolic Czchowa, we wrześniu.

W roku ubiegłym zawiązało się Towarzystwo myśliwskie „Bór“, z siedzibą w Krakowie, którego prezesem jest obecnie p. Ludwik Halski (Kraków, Sukiennice), członków zaś liczy obecnie z górą 20.

Dzierzawi ono rewiry w powiecie Brzeskim około Czchowa, o obszarze do 10.000 morgów.

Celem Towarzystwa jest prócz wspólnych polowań, ochrona zwierzyny przed bardzo rozpowszechnionem tam kłusownictwem, dalej racyonalne żywienie, wreszcie tępienie szkodników.

Z wkładek członków opłaca Towarzystwo strażników, pozostałość zaś przeznaczoną jest na urządzanie wspólnych polowań z naganką lub ogarami.

Choć Towarzystwo istnieje niespełna dwa lata, to jednak już teraz dał się zauważyć przyrost zwierzostanu, co zawdzięczać należy jedynie zabiegom i staraniom Towarzystwa.

Prócz zajęcy i sarn nie do rzadkości należą tam dziki, w ostatnich czasach sprowadzono kilka par bażantów, a zaciętą walkę stacza się z lisami, których niestety jest tam za dużo.

S. D.

Finstergrün, 11/9 907.

Polowanie na gemzy, u nas kozicami zwane, jest, o ile mi wiadomo, w szerszych kołach naszych myśliwych dość mało znane. Przyczyna nader jasna i prosta; mamy tylko stosunkowo nieznaczną część Tatr w naszem polskiem posiadaniu, a kozice tylko w Tatrach istnieją. W kalendarzyku łowieckim, który każdy z nas w kieszeni nosi, między zwierzyną łowną niema wcale kozicy. Oficyalnie więc, kozica nie istnieje wcale dla myśliwego polskiego. Z tem większą tedy radością przyjąłem zaproszenie mego szwagra na polowanie na kozice w tak zwanej Lungau, t. j. krainie położonej na granicy Salzburga, Karyntyi i Styryi. Podróż z Galicyi ogromna, bo 28 godzin nieprzerwanej jazdy koleją, przez Wiedeń, Leoben, Judenburg do Unzmarkt, dalej wąskotorową kolejką do Ramingstein, przez słynne z świetnych polowań Murau, stolicę istnego państewka tegoż nazwiska, stanowiącego część ordynacyi XX. Schwarzenbergów. Z Ramingstein powozem na skałę zwaną Finstergrün, gdzie w zamczysku z XII stulecia przyjmuje mnie najgościnniejsza pani domu, hr. Sapary-Henckel. Ponieważ na drugi dzień raniutko mamy polować, więc pozwalają mi tylko się przebrać, zjeść kolacyę, zapakować co najpotrzebniejsze i o $8^{1}/_{2}$ wieczorem, w ciemności istotnie niezwykłej wyjeżdżam powozem dalej w głąb gór. Po 2 i pół godzinie stajemy przed małym domkiem myśliwskim mego szwagra, położonym u wejścia doliny, w której polowanie do niego należy. O 8. zrana wychodzimy piechotą ku miejscu polowania. Nagonka, t. j. 10. czy 12. chłopców z 2. miejscowymi gajowymi wyszło już o 4. z rana. Aby nie spłoszyć zwierzyny, rozdzielają się schodząc do miotu na 2 partye i zaczem tylko świtać poczyna, zachodzą w największej ciszy, aż hen na sam szczyt góry, która na dziś stanowić ma miot pierwszy i tam

czekają sygnału. Za sygnał uważa się wystrzał, który jeden z prowadzących leśnych daje o godzinie naprzód umówionej — w naszym wypadku o 12. Nagonka dzieli się na dwie kategorye, takich, którzy idą niższymi, łatwiejszymi i takich którzy mają za zadanie wydrapywać się na najwyższe szczyty, by utrzymujące się tam kozice spędzać. U stóp spadzistych skał stojące, spędzają, rzucając kamieniami. Udaje się to tylko częściowo, bo kozica należy do zwierzyny najtrudniej dającej się pędzić naprzód. Wyczekuje w zasadzie do ostatniej chwili, ukryta na jakimś cyplu skały, poczem jednym potężnym susem uderza w tył poza naganiaczy. W języku myśliwskim zowie się ten rodzaj polowania „das Riegeln“. Polowanie z nagonką o liczbie naganiaczy zupełnie małej, zowią „das Drucken“. Poza tem istnieje najpiękniejszy, acz najtrudniejszy sposób polowania, t. j. Pürsch, czyli podchodne. Podchodzenie jednak na skałach i urwiskach, gdzie istotnie co krok śmierć, a co najmniej złamanie nogi myśliwemu grozi, łatwem nie jest, acz z natury rzeczy najbardziej uroczem.

Około tedy 10., więc po dwugodzinnym marszu stanęliśmy u stóp olbrzymiej grupy skał: to nasz dzisiejszy miot. Jeszcze 3 kwadranse pod górę a pierwszy myśliwy staje na stanowisku. Ja miałem numer drugi, a więc o mniej więcej 500 do 600 kroków wyżej nad pierwszym myśliwym. Stanowiska zupełnie odkryte. Przed nami ściana, częścią porosła modrzewiowym i limbowym lasem i wysoką trawą. Gdzieniegdzie karłowate świerki przypominają, że jesteśmy na wysokości ponad 1600 metrów. Stoimy w środku łożyska dzikiego potoku — teraz sączącego się zaledwie cieniutką niteczką wody. W koło olbrzymie głazy i krągłe bryły szutru górskiego. Nademną w odległości 1000 kroków staje mój drugi sąsiad, dalej mój szwagier. Ponad jego stanowiskiem bieleje szmat wieczystego śniegu, a dalej naga, dzika, niedostępna skała, gdzie od świtu jednego postawiono naganiacza, aby przeszkodzić wyjściu kozic z miotu. Szczegół ten maluje zdaniem mojem doskonale teren w tych rejonach. Jeden człowiek zamyka tam przejście na przestrzeni tysięcy kroków. W koło urwiska i ściany, jeden tu tylko wąski przesmyk.

Aura sprzyjała nam, wiatr doskonały, bo od góry ku nam. Po półtoragodzinnem oczekiwaniu słyszę głuchy, niesłychanie odległy łoskot — to sygnał. Istotnie po chwili widzę nad sobą, na skale o 600 do 800 metrów nademną nieomal wiszącej, jasno żółtą, parę milimetrów szeroką plamę, poruszającą się w nieregularnych ruchach wzdłuż skalistej, ciemnoczekoladowej skały — za jasno żółtą plamą, widzę drugą mniejszą, o takich samych ruchach, koloru skały, o kilka tonów ciemniejszą. Chwytam za fuzyę i widzę, że to kozica z koźlęciem. Co 50—60 kroków przystaje i badam teren, nadsłuchuję; po chwili niknie, znowu głęboka absolutna cisza, o ile ciszą nazwać można to, co literaci i ludzie o zniszczonych przez miejskie harmidery bębenkach usznych tak zwykli nazywać, ile razy się znajdą poza rogatkami miejskiemi.

Otwarcie wyznać muszę, że gdy się kończyła 2. godzina takiego siedzenia na stanowisku, z nieustannie zadartą głową do góry i to tak, jak się ją zwykle podnosić zwykło, n. p. by oglądać w bardzo wysokiej sali pod samym pułapem wiszące obrazy, chwilami kark mój zamierzał wypowiedzieć mi służbę. Musiałem mu z całą energią przypominać, że od tego wszystko zawisło, więc by z wytrwałością służbę swą do końca spełnił.

Bezpośrednio przedemną, na odległość około 180—200 kroków wznosiła się, jak już wspomniałem góra, rosnąc ścianą miejscami okrytą zżółkłą już, wysoką trawą, z pomiędzy której przeglądały głazy, nad trawą tu i owdzie świerk karłowaty, znowu trawy, głazy, wreszcie modrzewie, limby, słowem dość zwarty las. Otóż pomiędzy modrzewiami błysnęło nagle coś od traw jaśniejszego. Wytężyłem wzrok, ścisnąłem Schönauera, łypnąłem raz jeszcze okiem, by sobie przypomnieć, na jaki dystans moja luneta na sztućcu nastawiona. — 250 kroków. — Znowu coś mignęło w górze — nareszcie z pomiędzy świerczków i traw zobaczyłem ciemny łeb kozicy, zakrzywione różki, tu zwane „Krücken“ — wreszcie jasny, żółty grzbiet. Szła niezmiernie ostrożnie, stępa, co parę kroków przystając, nasłuchując, a zwłaszcza węsząc. Chciałbym był przez Zeissa przyjrzeć się dokładnie temu zwierzowi, z którym pierwszy raz w życiu ze sztućcem w ręku się spotykałem, ale ponieważ siedziałem zupełnie na czystem, nie wolno mi było ani drgnąć. Kozica szła widocznie wekslem coraz niżej w zygzak, wprost ku mnie. Złożyłem się, gdy schowała się za świerczkiem — i gdy zeszła na dystans 300 kroków, przez lunetę strzeliłem. Jak piorunem rażony kozieł, bo to był kozieł, odskoczył od ściany i jak ptak strzelony, wywracając najzupełniejsze koziołki w powietrzu, runął z niesłychanym łoskotem na ziemię. Wyciągnął raz jeszcze racice i nie drgnął więcej. Dopiero teraz dostałem szalonej febry myśliwskiej. Pierwsza kozica w życiu leżała przedemną.

Miot trwał jeszcze z górą 2 godziny. Po dobrej chwili, tym samym wekslem wyszedł (o dziwna łasko św. Huberta) drugi, tym razem niezwykle wielki kozieł (długość rożków 25·5 cm. podczas, gdy zwykłe rożki miewają po 23—24$^1/_2$ cm.). Dwie kule mu dać musiałem. Potem widziałem dwie sztuki przeciągające samym rąbkiem mojego widnokręgu, potem znowu zawsze tym samym wekslem wyszedł znowu kozieł, znowu dwie kule. W końcu przed samą nagonką, zawsze tym samym wekslem wyszły 3. sztuki, stara koza z kicunem tegorocznym, najmilszym, zupełnie ciemnym i z drugim kicunem zeszłorocznym, już żółtym, ale bez rożków jeszcze. Ponieważ miot się kończył, więc odłożyłem sztuciec, i przez Zeissa obserwowałem to szlachetne zwierzę, z jak niesłychanym wysiłkiem doszedłszy do linii strzelców i zobaczywszy mego sąsiada, zaczęło wracać napowrót pod tę straszną skałę.

W miocie padło razem 5 sztuk — z tego 4. kozły i jedna 1$^1/_2$ roczna koza. Obserwując moje 3. kozły, z których dwa pierwszej klasy egzemplarze, uderzony byłem przedewszystkiem ukształtowaniem ich racicy, która w wyższym daleko stopniu niż rać jelenia górskiego i zwykłej kozy, nie mówiąc naturalnie o sarnie, przez stwórcę do chodzenia po prostopadłych ścianach skał zastosowaną została.

Wnętrze racicy kozicy jest silnie wklęsłe, brzegi dziwne ostre. Skok (może badyl) cały dziwnie gruby i silny. Kozica jest z natury rzeczy niezmiernie wytrzymałą na zimno, wichry, niepogody wszelakiego rodzaju — bieg męczy ją jednak bardzo prędko. Obserwowałem, że wszystkie sztuki, które bodaj kilka skoków zrobiły, już pyszczek otwierały, przypominając nasze nieraz tak biedne, zgonione przez nagonkę sarny. Kozica nietylko pyszczek otwiera, ale i wywiesza zaraz język. Wzrok ma naturalnie wyborny, ale widocznie nie umie patrzeć i nie widzi będąc w lęku, a tylko bada teren w ucieczce węchem i uchem. Najłatwiejsze polowanie na kozice ma być w listopadzie, kiedy szczyty już śniegiem głęboko pokryte, trzód pasących się krów, owiec i t. d., już w górach niema, wówczas jest

czas rui — wówczas kozica schodzi niżej, wówczas już ma suknię zimową, więc taką, w jakiej nam ją zazwyczaj ryciny i t. p. przedstawiają, ciemnobronzową, wówczas capy dostają ową „brodę“ puszystą a długą, co zdobi kapelusze każdego strzelca, ale i nie strzelca, od Bregencyi aż po węgierską granicę, do Tryestu, niemal, aż po Wiedeń; ów „Gamsbart“, od którego czy dla którego, strzelone w listopadzie capy, nazywa się „Bart Böcke“ i t. d. Co w tem najoryginalniejsze, że owa „broda“ bynajmniej tam nie rośnie, gdzieby po jej nazwie sądząc przypuszczać należało, ale na plecach, wzdłuż kości pacierzowej, podobnie jak u odyńca, nie broda to więc, a raczej grzywa. W lecie grzywa jest bardzo krótka, nikła, w zimie u starego capa ma kilkanaście do 30 centimetrów długości.

Żegnając tę jako krajobraz istotnie śliczną okolicę, wyznaję, że ze smutkiem zapytałem, czemu nasz kraj takiej okolicy, takich łowów nie ma. Usłyszałem odpowiedź, że na nicby mu się nie przydało mieć te łowy i tę okolicę cudną, bo tak samoby z obojga tylko obcy korzystali, jak obecnie korzystają z pysznych naszych puszcz karpackich i z pyszniejszych jeszcze łowów na królewskiego naszego jelenia.

Tu, kraj cywilizowany i bardzo, ludzi w nim dużo i nie gorszych od naszych, knieje pełne zwierza i bardzo złośliwego, wielkie szkody wyrządzającego, ale dla tego nikomu jeszcze nie przyszło tu do głowy proponować uchwalenie ustawy, mocą której miałoby się jednem pociągnięciem pióra zniszczyć te cudne łowy, wyniszczyć zwierzynę, tak jakby tego pan redaktor „Słowa Polskiego“ sobie życzył. *P. S.*

We Lwowie, 1. października 1907.

Wielu jeszcze szczęśliwych wsłuchuje się w górach w słabnący z dniem każdym poryk jeleni. Dla mnie jednak ta najważniejsza karta corocznych rozkoszy myśliwskich, już na ten rok zamknięta, spieszę więc podzielić się spostrzeżeniami z tegorocznego rykowiska.

Spostrzeżenia te bardzo, a bardzo niewesołe.

Już od wiosny ze wszystkich stron słyszeć się dawały smutne wieści o skutkach tegorocznej strasznej zimy, o klęsce, jaka dotknęła hodowców zwierzyny, bo o hekatombach, jakie nieubłagane mrozy z pośród jeleni, sarn, i innej zwierzyny porwały.

Wiadomości te pozostały jednak niestety zdala poza rzeczywistością, a zrozumieć to łatwo, gdy większa część jeleni i sarn wyginęła dopiero w późniejszych miesiącach wiosennych wskutek chorób, po przejściach i głodach ciężkiej zimy, przy nagłem przejściu do zielonej, wiosennej paszy. Nie można już było wtedy odszukać sztuk padłych, bo nie zdradzał ich osłabionych kroków śnieg, a grób im słała wiosenna zieleń i nieprzebyte gąszcze.

Mimo fatalnych wiadomości ze wszystkich rewirów jelenich, twierdzili optymiści, że rykowisko będzie lepsze niż kiedy, bo ostre zimy przy nadmiernem miejscami rozmnożeniu zwierzostanów, a temsamem karłowaceniu indywiduów, wykonują naturalną selekcyę, usuwając z widowni słabsze, a więc nie przydatne do rozmnoży indywidua. Twierdzono także, że łań było za dużo, i dlatego jelenie gorzej ryczały, a właśnie zima najwięcej łań zabiera. Optymizm ten, po tem co widziałem w górach, wcale się nie sprawdził. W rewirze, w którym dzięki uprzejmości właściciela, od szeregu lat polują na około 60.000 morgów przestrzeni, podniesiono tej zimy i wiosny 472 sztuki nieżywych jeleni, w tem łań mniej niż jeleni. Zginęła prawie cała warstwa zeszłoroczna, pozostałe przy życiu łanie, w tym roku przedwcześnie płód zrzuciły i można śmiało twierdzić, że dwie warstwy t. j. zeszłoroczna i tegoroczna zupełnie przepadły. Nie widziałem tam i ośmielam się powątpiewać, czy ktokolwiek z polujących w tym roku w górach widział łanię z cielęciem.

Jeleni byków od widłaka w górę zginęło w powyższej cyfrze około 100 sztuk, w czasie zimy przeważnie młodszych, ale już w maju znajdywano jelenie ze zrzuconymi rogami, niewątpliwie stare, bo bez kłów (proszę o właściwą nazwę w słowniku*), lub z kłami startymi. Jelenie to, reprezentujące sławę naszych gór, bo noszące najwspanialsze wieńce, ginęły z braku zębów, nie pozwalającego im na obgryzanie kory z drzew, tej ostatniej ucieczki wśród srogiej zimy.

Tak wyglądają cyfry oficyalne, a ile po zatem zginęło sztuk, których nikt nie odszukał, ile jeleni rozdarły i zjadły wilki, ile kłusownicy zastrzelili, ile chłopi wśród zabudowań zakłuli lub zabili siekierami, tego nikt nie jest w stanie obliczyć. Stosunek więc łań do jeleni byków wcale się nie poprawił, ale raczej pogorszył, a to co przy życiu zostało po ciężkich przejściach zimy, nasadziło wieńce słabe i schorzałe, a wogóle zanadto osłabione, aby w chwili rykowiska dawny humor i energię rozwinąć.

Przytem lato tegoroczne było w górach niezwykle suche, trawy na zrębach i wogóle zioła zupełnie zeschły, połoniny pokryte zżółkłą, trzeszczącą trawą, to też wszystkie jelenie trzymały się w czasie rykowiska gąszczów, gdzie wskutek cienia więcej wilgoci, a temsamem lepszą miały paszę.

Zbliżająca się zima zastanie jelenie bardzo jeszcze zbiedzone i nie daj Boże, aby była długotrwałą i zbyt śnieżną, bo reszta jeleni wyginie, a i tak trzeba będzie lat kilku, aby się szczerby tegorocznej zimy zapełniły, a karpacki jeleń wrócił do dawnych wieńców i dawnej tak zasłużonej sławy.

W tych warunkach niewesołe było tegoroczne rykowisko. Na zrębach gdzie dawniej stale widywałem jelenie, zupełna pustka, znane mi z poprzednich lat stałe ścieżki jelenie po większej części trawą zarosłe, jelenie ryczały słabo i odzywały się rzadko, zaczęły koncert dopiero po 20 tym września, a choć optymiści twierdzą, że zato dłużej ryczeć będą, mam wrażenie, że to już koniec rykowiska i lepiej w tej chwili nie jest i nie będzie.

Na ośmiu myśliwych, którzyśmy w tym roku w tymsamym rewirze polowali, wróciliśmy wszyscy bez wieńców, w części rewiru, który miałem przydzielony, ryczało pięć jeleni, byłem przy wszystkich ale słabe wieńce odebrały mi zupełnie ochotę do strzału i wydaje mi się wykluczone, aby to wszystko było młode. Znając ten rewir i wnosząc z tropów i rozmiarów korpusu, twierdzę, że miałem przed sobą conajmniej trzy stare jelenie, których wieńce w inne lata byłyby dla każdego ponętną zdobyczą.

Podobne rezultaty mieli w tym roku wszyscy lub bezmała wszyscy i nie o wiele weselej będą brzmieć zapewne relacye innych myśliwych.

Nie chcę się dalej rozwodzić nad skutkami tegorocznej zimy, wiem bowiem, że jeden z najlepszych znaw-

---

*) Charakterystyczne zęby jelenia (po niemiecku „Grandeln“) zwą myśliwi nasi hakami, ale i tego wyrazu nie uznajemy za właściwy. Red.

ców stosunków łowieckich Karpat zbiera skrzętnie daty z górskich rewirów i niewątpliwie wkrótce je w Łowcu ogłosi.

Jelenie wcale nie lub mało ryczały, wyły nam zato wilki pod kolebami i więcej wilczych, niż jelenich tropów można było spotkać.

Skąd się tych strasznych rabusiów tyle wzięło, niepodobna zrozumieć, ale kto zna ich zwyczaje, tak barwnie niedawno przez pana Marcinkowa opisane w Łowcu, zrozumie, że niepomierna ilość wilków zagraża zwierzostanom Karpat gorzej, niż wszystkie klęski ostrej zimy.

O zdarzeniach z wilkami w Smorzu niech piszą ich uczestnicy, ja mogę wspomnieć tylko o tem, co sam przeszedłem, lub co się tuż obok wydarzyło.

Więc najpierw gajowy, który mnie w czasie rykowiska podprowadził, złapał przed rykowiskiem w trzy zastawione żelazka (bez przynęty) w sierpniu dwa wilki.

25. września wieczór wróciłem właśnie z podchodu gdy raptem pod samą kolibą gonitwa i trzask w pobliskich krzakach zwróciły naszą uwagę. Wyskoczyłem z Manlicherem z koliby, a w tej chwili rozległ się najdalej o 200 kroków żałosny głos duszonej sarny, a równocześnie żarcie się o zdobycz wilków. O strzelaniu nie było wskutek ciemności mowy, więc tylko towarzyszący mi szwabi rzucali w krzaki kamieniami i krzyczeli w niebogłosy, aby wilki odpędzić. Mimoto na drugi dzień rano nie znaleźliśmy ani śladu zaduszonej sarny.

Następnego dnia miałem wieczór koncert wilczy na pobliskiej górze.

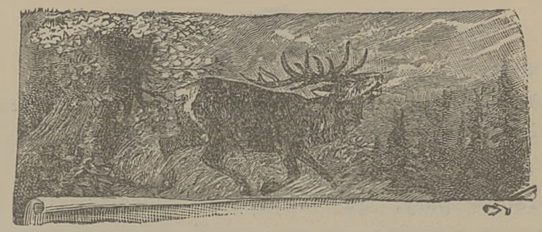
Brat mój, który polował w innej części tego samego rewiru, idąc do koliby z ludźmi i rzeczami, spotkał dwa wilki na bliską metę w biały dzień. Zanim sztuciec zerwał z ramienia, wilki już zniknęły.

Na drugi dzień wysłany za czemś do wsi człowiek, spotkał w tem samem miejscu niedźwiedzia. Zaintrygowany tem przeszukał mój brat pobliskie gąszcze i znalazł o paręset kroków od ścieżki zaduszonego przez wilki dwunastaka i ślady niedźwiedzia, który niedojedzone resztki po wilkach skonsumował. Z całego jelenia została obgryziona ze skóry głowa, płat skóry z grzbietu, a zresztą i stos pacierzowy; żeber nie było. Zdaje mi się, że to rzadki wypadek, aby wilki w biały dzień dusiły jelenie i żeby o tej porze roku zadusiły dwunastaka.

Niezwykła ilość wilków wywołuje mimowoli przypuszczenie, że to nie tylko karpackie wilki tak się rozmnożyły, ale że musiały przywędrować z dalekich stron, nowe zastępy — bo to, co wilki tego roku wyprawiały, przypomina dawno już minione, a chyba tylko najstarszym pamiętne czasy.

Niedźwiedzie również, jakoś częściej w tym roku dawały się spotykać. Jeden z myśliwych, sąsiadów, miał dwa spotkania z niedźwiedziami; do jednego z nich strzelał bez rezultatu, drugi był za daleko. Inny z myśliwych spotkał niedźwiedzia jedzącego ożyny, do strzału nie przyszedł, bo niedźwiedź uszedł, zanim luneta była w porządku, trzeci wreszcie spotkał ogromną niedźwiedzicę z piastunem, dlaczego nie strzelał, nie można się było dowiedzieć. Poza tem ludzie posyłani do wsi, widzieli parę razy niedźwiedzie. Wiadomości o tych spotkaniach, krążące między kolibami, wywołały pewną suggestyę niedźwiedzią i omal nie doprowadziły do tragikomicznego zdarzenia. Jeden z towarzyszy, wytrawny starszy myśliwy, wracał z podchodu o zmierzchu do gajówki, w której mieszkał; na bliskiej połoninie pokazuje mu nagle gajowy na kraju lasu i już trochę w cieniu drzew, rzekomo niedźwiedzia — rzeczywiście poruszało się tam coś czarnego, przypominającego bardzo niedźwiedzia. Mimo usilnych nalegań gajowego, nie chciał ów towarzysz strzelić, bo nie mógł odróżnić dobrze pozycyi owego stworzenia i nie wiedział, gdzie ma głowę zwróconą, a gdzie resztę korpusu. Zaczęli się więc ostrożnie bliżej podsuwać i nagle przekonali się, że owo stworzenie nie było niedźwiedziem, ale własnym koniem gajowego, notabene starym i ślepym.

Powszechne było mniemanie, że sprytny gajowy, chciał w ten sposób spieniężyć korzystnie nieprzydatnego już do służby staruszka. *W. S.*



Słownictwo łowieckie.

H.

Harap, wyraz ten trzy razy powtarzają myśliwi, psy poskramiając przy zwierzu pojmanym. L.

Harapowy zwierz, uszczwany, czyli przez chartów złowiony. L.

Harda, tak się zowie kuropatwa, gdy dostaje z piór czerwonego znamienia nad oczami. U.

Harowanie, kiedy psy zatyją i źle nimi pracować, trzeba im więc strawę kilka razy otrębami żytniemi zacierać i to zowie się harowanie. T.

Hasło, p. *trąbienie.*

Heco, tem słowem pobudza się charty do gonienia, ujrzawszy zająca. U.

Hegard, p. *sokoł.*

Homolec, soszki, na których zawieszają się poły i sieci. U.

Hop, hop, głos którego myśliwi używają w kniei aby dać znać o sobie. U.

Huczyć, głos wydawać, mówiąc o grzywaczu i sowie. B.

Huzia, głos używany przy szczwaniu psami O.

Hulala, nuże do lasa, hu do lasu, dojeżdżacz ruszając ku temu miejscu, gdzie psy mają zacząć gonić, takim się głosem z przewłoką i nie wielkim wrzaskiem do nich odzywać powinien. O.

Hulala, głos używany w szczwaniu wilka. L.

J.

Jadowity głos, p. *głos* 2.

Jadro, wklęsłość sieci we środku czyli bucht, np. *jadrzysta* sieć, to jest mająca wklęsłość we śrzodku. U.

Jałowcowa buda, krzak jałowcem obsypany, z rózgami lepem ociągnionemi, służący do łowienia kwiczołów K.

Jama, p. *nora.*

Jamnik albo **Daks,** canis cavaticus, ein Dachshund, basset, znany gatunek psa. L.

Janczarka, strzelba długa turecka. U.

Jarczak, bóbr roczniak. L.

Jastrząb albo **Falkonet,** pewien gatunek dawnej *strzelby.* U.

Jastrzębiec, samołówka do łapania jastrzębiów i innych ptaków drapieżnych. U.

Jastrzębnik, myśliwiec z jastrzębiami polujący. L.

Jaźwiec albo **Nor**, borsuk, ursus meles, der Dachs, blaireau. M. U.

Jechać, lecieć, mówiąc o ptakach, np. *pojechały* szpaki. U.

Jęczyć, głos wydawać, mówiąc o turze i lelku. B.

Jeleń łowny, który już zupełnie dorósł i nie mniej jak dziesięć *gałęzi* ma u *wieńca*, a sam przynajmniej 300 funtów waży. U.

Jeleniołowiec, łowiący jelenie. U.

Jelonek, p. *Rogacz*.

Jepur, zając. U.

Języczek, ta część we wszystkich pułapkach, samołówkach, żelazach, za której poruszaniem one zamykają się. U.

I.

Iglica, narzędzie, którem się wiążą sieci. U.

Igrzysko, 1. miejsce gdzie głuszce *grają*; 2. miejsce gdzie wilki *ciekają się* i wyją. U.

Imać, chwytać, np. chart *ima kota*. U.

Iść, 1. *Iść* w pary, gdy kuropatwy rzucając stada na wiosnę, par szukają; 2. np. *szedł* na mnie zwierz *dobrze* czy *źle*, znaczy: szedł na strzał blisko lub daleko; 3. *poszedł* pies ku psom, kiedy pies *uniesiony* wraca się do tych, które tropem gonią. U.

Iść na dym, kiedy *odyniec* rzuca się na strzelca, który do niego wypalił i *spudłował*, np. *na dym odyniec poszedł*. U.

Juszyć, kiedy niedźwiedź postrzelony tropy swoje krwią znaczy. U. (C. d. n.)

---

†

Franciszek Szczerbicki

pełnomocnik dóbr JE. hr. Romana Potockiego, wiceprezes Towarzystwa oficyalistów prywatnych, długoletni członek Wydziału Gal. Towarzystwa łowieckiego, zmarł dnia 6-go października we Lwowie, w 68-ym roku życia po kilkodniowej ledwie chorobie.

Była to postać znana wszystkim i popularna we Lwowie, człowiek szanowany powszechnie, kochany przez kolegów i podwładnych. Ledwie przed kilku miesiącami obchodził jubileusz 50-letniej służby swej w dobrach JE. hr. Potockiego, a obchód ten był wymownym dowodem sympatyi, jakiej zmarły zażywał w szerokich kołach przyjaciół i znajomych.

Galicyjskie Towarzystwo łowieckie traci w zmarłym jednego z najgorliwszych swoich członków i wypróbowanego, starego przyjaciela. Przez długie lata był on członkiem komisyi szkontrującej w Wydziale Towarzystwa. Nie było prawie posiedzenia Wydziału, by śp. zmarły nie brał w niem udziału, nie uchylał się też nigdy od żadnej pracy, podjętej dla dobra łowiectwa, które gorąco kochał.

Trudno nam też przeboleć tak ciężką, niespodziewaną i nie łatwą do powetowania stratę, którą przez śmierć tego gorliwego współpracownika ponosimy!

Cześć Jego pamięci, spokój Jego duszy!

KRONIKA.

Nowe kule. Światowej sławy angielska Fabryka broni, Westley Richard & Comp. wprowadziła w użycie nowe pociski do sztućców, które na rycinach obok przedstawiamy. Fig. 1. przedstawia nam pocisk tak zwany S pełnopłaszczykowy 11·9 mm. z próżnym szpicem. Fig. 2. przedstawia

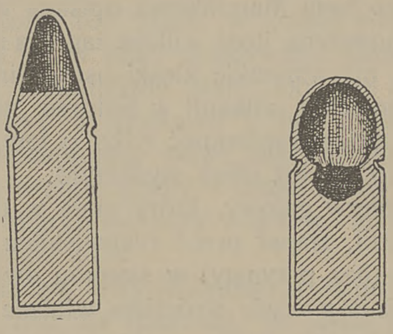


Fig. 1. Fig. 2.

nam pocisk ¾ płaszczykowy tego samego kalibru, lecz innej formy, również z próżną częścią, na rycinie czarno oznaczoną. W obu formach pociski ważące, pierwszy 33·7 gm., drugi 25 gm. deformują się bardzo w ciele zwierza, wskutek czego nadają się głównie do polowań na grube drapieżce, a więc na lwy i tygrysy, ponieważ sprowadzają z reguły natychmiastowe ubezwładnienie i śmierć nadzwyczaj szybko.

Od Redakcyi.

Zewsząd nadchodzą wiadomości o niezwykle obfitym ciągu słonek.

Upraszamy naszych P. T. korespondentów o sprawozdania.

Jesteśmy proszeni o zamieszczenie następującego ogłoszenia:

Konkurs.

Komitet c. k. galic. Towarzystwa Gospodarskiego ogłasza niniejszem konkurs na trzy stypendya po 800 koron rocznie dla słuchaczów Wydziału leśnego c. k. Akademii ziemiańskiej we Wiedniu. Ubiegający się o to stypendyum winni do 15. października b. r. nadesłać do Komitetu (ul. Karola Ludwika 3) podania z dołączeniem:

1) świadectw szkolnych (egzaminu dojrzałości, egzaminu państwowego, z kollokwiów itp.),

2) metryki chrztu,

3) świadectwa ubóstwa,

4) zobowiązania wstąpienia do służby państwowej po ukończeniu nauk.

Stypendya powyższe przyznaje się na jeden rok, wypłaca zaś w ratach z góry z kasy c. k. Ministerstwa rolnictwa we Wiedniu, za kwitem przez rektora Akademii potwierdzonym.

Warunkiem wypłaty i dalszego otrzymywania stypendyum jest zdawanie z dobrym postępem przepisanych kollokwiów i egzaminów.

Drobne ogłoszenia i inseraty.

Wyżeł nowoniemiecki, krótkowłosy w trzeciem polu tanio do sprzedania. We Lwowie, ulica Leona Sapiehy 61. W. Jakobczyński.

Pies i suka Leonbergery 3 letnie, bardzo duże, są do sprzedania. — Zarząd dóbr Batiatycze p. Kamionka strumiłowa.

Antyk lefoszówka ręcznej roboty Ph. Kirchner Hamburg, przerobiona z expresa na kal. 20, dawniej własność Br. Parischa, jest do sprzedania na poczcie w Koniuchowie ad Stryj. Piękny nabytek dla zbrojowni.

Epilepsya.

Rozmaite publikacye w fachowej prasie medycznej o nowych i pewnych środkach leczniczych przeciw epilepsyi znane już i laikom, budzą coraz to większe zainteresowanie. Autor tych publikacyi i wynalazca nowej metody leczniczej **Dr. Aleksander B. Szabó** w Budapeszcie obowiązuje się chętnie udzielać wskazówek pacyentom, którzy za pomocą jego wypróbowanej metody leczniczej pragną powró.ić do zdrowia.



Prawnie zastrzeżone.

Jedynem nieprzemakalnem smarowidłem na skórę jest

HEVEAX

czyni skórę miękką, trwałą

i pod gwarancyą nieprzemakalną.

Cena jednej puszki wraz z pędzlem K. 3.—. 10 puszek tylko K. 25.—. Po otrzymaniu K. 3.50 wysyłamy jedną puszkę franko do każdej stacyi pocztowej w monarchii przez:

Laboratoryum Kubanyi Sisak (Kroacya).

Niezliczone świadectwa fachowców i wysoko postawionych osób. Na wystawach fachowych tylko pierwsze odznaczenia.

Magazyn i Pracownia Futer

Braci Lubelskich

we Lwowie, ul. Wałowa l. 3.

POLECAJĄ NA SEZON ZIMOWY

swój obficie zaopatrzony

MAGAZYN FUTER

tak w skórach futrzanych,

jakoteż

GOTOWYCH FUTRACH

damskich i męskich.

BOA, ZARĘKAWKI, CZAPKI

i wiele innych rzeczy w zakres kuśnierstwa wchodzące.

Przyjmujemy stare futra i przerabiamy na nowe fasony, licząc wszystko po możliwie jak najtańszych cenach.

Cenniki illustrowane na żądanie.

Towarzystwo

Wzajemnych Ubezpieczeń Urzędników Prywatnych

we Lwowie, Hotel George'a

oparte na wzajemności i zasadach asekuracyjno-technicznych, a zarazem o celach dobroczynnych, — przyjmuje ubezpieczenia, a w szczególności ubezpiecza za jedną składką **renty na wypadek nieudolności do pracy, renty na starość, renty wdowie, pensye sieroce, kapitały pośmiertne, posagi** itd., a to w najrozmaitszych kombinacyach.

Ubezpieczać się mogą urzędnicy prywatni wszelkich kategoryi, oraz osoby zarobkujące samoistnie lub w tak zwanych zawodach wolnych — bez różnicy płci.

Szczególne korzyści:

Po trzech latach trwania ubezpieczenia jest polica nieprzepadalna, t. j. Towarzystwo zwraca po tymże czasie na żądanie $^3/_4$ składek netto bez odsetek.

Oprócz ubezpieczonych rent ma każdy członek ubezpieczony, każdy emeryt lub wdowa prawo do zapomóg doraźnych w wypadku choroby, braku posady etc., wszyscy zaś członkowie i ich rodziny mogą korzystać z licznych fundacyi stypendyjnych i posagowych, oraz z bursy Towarzystwa. Członków poleca Towarzystwo bezpłatnie na posady.

Towarzystwo będzie od r. 1909 ustawowym zakładem emerytalnym zastępczym w myśl ustawy z d. 16. grudnia 1906 Dz. u. p. Nr. 1 z r. 1907.

Prospekty szczegółowe wysyła i wszelkich wyjaśnień udziela na żądanie:

Wydział centralny Towarzystwa

we Lwowie, Hotel George'a.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**